Nr. 10. (dodatkowy.) Lwów, — 1896. r. Wydawnictwa Rok XIX.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek" dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a.

Właściciel i naczelny redaktor: M. Dzikowski — Chamski.

Drugi wiec katolicki we Lwowie.

Nie naszą rzeczą jest zdawać szczegółowe sprawozdanie z posiedzeń wiecu, ani też z referatów poszczególnych komisji i dyskusji jaka się tam nad nimi wywiązała — należy to do pism codziennych i kto chciał iść za tokiem kronikarskim tych obrad, ten z pierwszej lepszej gazety dowiedział się o wszystkiem. Powtarzać więc tych sprawozdań, ani niema potrzeby, ani obowiązku. Nas przedewszystkiem zajmuje sam fakt wiecu, który uważamy za pożyteczny dla naszych społecznych interesów, ale wyznajemy szczerze, że w taki sposób zorganizowany i opracowywany, jak ten, co się właśnie odbył, mało bardzo przynosi praktycznych rezultatów. Wogóle szerokie sfery mieszczańskie i włościańskie, niezmiernie szczupły udział brały w wiecu. Zebrała się inteligencja, która przecież w tym kierunku wzmacniać się tak nie potrzebuje, bo ma w sobie silniejsze środki odporne na pokusy i ataki, jak sfera niższa sprowadzana nie raz umyślnie na manowce, aby później, nawet, gdy otrzeźwieje, nie mogła trafić na szeroki gościniec. Uważać należy wysoką opłatę za wstęp, po trzy reńskie za od osoby jakby stawianie umyślnej przeszkody dla maluczkich i niezamożnych. A toż do bogatych i gorących katolików należy, aby z własnej kieszeni za pomocą dobrowolnych składek między sobą opędzili koszta takiego wiecu, a dali możność szerokim masom korzystania z niego i brania w nim udziału. Byłaby to ofiara, nietylko piękna i miła Bogu i ludziom, ale pożyteczna i zdrowa. O referaty w sekcjach — mniejsza, to są akademickie po większej części rozprawy, które się kończą na pobożnych życzeniach, a owoców z nich nie ma żadnych. Specjalnie w tym roku, co do prac owych sekcyj, to wszystko odbywało się jakoś per Dominum pstrum, żywego zainteresowania, nie wzbudziło, ogół się tem zupełnie nie zajmował, a i referaty same pod względem treści i formy nie wychodziły po za zakres frazeologji, lub komunałów. Ale ogólne posiedzenia były również mało interesujące i prawie zupełnie nie animujące. Oprócz odczytu profesora Szaraniewicza o Unji Brzeskiej, posiadającej wszystkie cechy dodatnie literackie — wszystko cośmy tam słyszeli, były to kazania, które lud nie raz w daleko przystępniejszej formie słyszy co niedzieli od naszych kapłanów z ambon. Do pewnego stopnia wyróżniało się *przemówienie* — inaczej tego nazwać nie można hr. Stanisława Tarnowskiego. Wyróżniało się nietylko treścią, lecz pewnym pesymizmem co do pracy i wpływu naszej inteligencji katolickiej. Nam się zdaje, że gdyby hrabia Tarnowski nie przywiązywał takiej wagi do zewnętrznym form, a więcej w grunt rzeczy wnikał i odczuwał wewnętrzne prady i pobudki, to że tam ktoś nie zawsze posci, albo nie spełnia czasem skrupulatnie innych praktyk religijnych nie usposobiłoby go na taki ton pesymistyczny i kaznodziejski. Wogóle ten ton kaznodziejski z ust profesora, od którego mamy prawo spodziewać się argumentów, nie tyle raził jak dziwił. Sądzimy również, że apostrofa do rządów, czy do rządu, aby bardziej i w sposób więcej stanowczy opiekował się naszemi sumieniami — już z tego powodu, że miecz jest obosieczny, a kij ma dwa końce, jest ryzykowna i niebezpieczna szczególniej w naszych obecnych politycznych i narodowych stosunkach.

Pragnęlibyśmy, aby wiece katolickie interesowały i oddziaływały na szerokie masy, aby dodawały siły i pomocy, dla słabnących, otuchy dla uciskanych, zagrzewały walczących i aby się stały postrachem i potęgą dla wrogów narodu naszego i kościoła i przeciwdziałały głupiej i wichrzycielskiej propagandzie w społeczeństwie.

Od ręki.

— Kronika żałobna.

Mówią, a nawet i piszą, że de mortuis aut bene, aut nihil — tak, ale tylko do prywatnych ludzi, bo gdyby o tych, co działają na szerokiej arenie publicznej nie pisano tego, jeśli nie wszystko dobrze robili, to ostatecznie nie byłoby historji, tylko jakieś panegiryczne nagrobki. Uwaga ta przyszła nam na myśl z powodu śmierci śp. Franciszka Dobrowolskiego redaktora *Dziennika Poznańskiego* i dyrektora tamtejszego teatru. Rzadko kiedy zamieszczamy wspomnienia pośmiertne i czynimy to tylko wtedy, gdy konieczna zajdzie potrzeba i gdy ktoś taki położy się do grobu, o którym oprócz banalnych pochwał, kadzidłowych frazesów i zanotowania żałobnego faktu coś więcej powiedzieć należy. Takim właśnie był śp. Franciszek Dobrowolski. Znaliśmy go lepiej, jak ci wszyscy, którzy we Lwowie o nim pisali. Działalność jego w wypadkach 1863 roku nie wyszła po za zwykły zakres i tendencje ówczesnej naszej polskiej polityki, która prawie powiedziawszy stanęła nie długo społeczeństwu kościa w gardle, a dziś bokiem mu wychodzi. Po wypadkach 1863 roku, początkowo Dobrowolski nie odgrywał żadnej roli — siedział w Dreźnie i tulił się pod protekcję Kraszewskiego. Gdy objął redaktorstwo Dziennika Poznańskiego, rzeczywiście rozwinął niezwykłą działalność i przez długi szereg lat położył rzetelne zasługi dla spraw narodowych. Dobrowolski nie był właściwie literatem, wielkiego talentu dziennikarskiego nie miał był inteligencją polityczną, posiadał wyborny zmysł orjentowania się, znał doskonale stosunki i posiadał praktyczne, ale dosyć szerokie wykształcenie. Z natury był on praktycznym mężem stanu i wolał dążyć do bliższych celów korzystnych dla społeczeństwa, aniżeli myśleć o wznioślejszych i omijać doraźne korzyści. W rodzaju życia polskiego w Wielkopolsce i wogóle pod zaborem pruskim położył Dobrowolski rzetelne i ogromne zasługi. W stosunkach osobistych, więcej udawał szczerego, aniżeli nim był. Umiał się maskować nie raz bardzo zręcznie i dochodził do celu, właśnie dlatego, że się maskował. Charakteru zaciętego, nie zawsze zażywał go jedynie w sprawach publicznych i przenosił go nie rzadko do osobistych stosunków nie umiejąc odłączyć prywatnej animozji od publicznych celów i obowiązków.

Ś. p. Dobrowolski był przez lat coś 13 kierownikiem teatru polskiego w Poznaniu. To jest najsłabsza strona w działalności publicznej śp. Dobrowolskiego i lepiej jej nie poruszać...

Podkreślając całą działalność zmarłego, który już na łożu boleści powiedział, że go „najwięcej życie boli", bez żadnych zastrzeżeń powiedzieć należy i trzeba, że położył się do grobu człowiek, który Polsce służył wiernie, potykał się z wrogami naszego narodu mężnie i rozumnie, pracował dla podstawowych interesów naszego społeczeństwa z całą dobrą wiarą i siłą, a za długi szereg lat tej pracy, nic nie zostawił, oprócz „bólu życia", który mu na tamten świat nie towarzyszył.

Wystawa węgierska.

Węgrzy są dumni ze swojej wystawy i mają z czego. Już samemi rozmiarami przewyższa to widowisko wszystkie dotychczasowe przedsiębiorstwa tego rodzaju. Na ogromnej przestrzeni, bo obejmującej przeszło pół miliona metrów kwadratowych, wystawiono kilkaset budynków i pomieszczoono w nich wszystko, co kraj posiada godnego widzenia. Miasta i wsie, ratusze, kościoły, zamki i pałace, muzea i galerye ogołociły się ze swoich pamiątek, aby uświetnić wystawę w Budapeszcie. Półpięta miliona guldenów kosztuje ta zabawka.

Bo wystawa budapeszteńska nie jest wystawą w rozumieniu zwykłem. Jest to więcej demonstracya polityczna — egzamin dojrzałości, złożony przez węgrów przed Europą.

Chociaż madziarowie obchodzą tego roku tysiącletnią rocznicę swojego panowania na ziemiach podległych koronie św. Stefana, nie mieli mimo to czasu do prawidłowego rozwoju. Zanim potomkowie jeźdców, którzy przybyli z Arpadem (w r. 896) z za Uralu, wyparci ze swoich siedlisk przez silniejszych barbarzyńców, pokonali ostatecznie liczne plemiona, mieszkające w dzisiejszych Węgrzech (głównie słowian), minęło lat dwieście. Mieli oni króla (św. Stefana), który posiadał, oprócz cnót ludzkich i żołnierskich, geniusz organizatorski, ale było ich tak nie wielu, że nie mogli odrazu narzucić woli swojej pierwotnym mieszkańcom bogatej krainy. Gdy się to stało, gdy dokonano stanowczego podboju i organizacyi kraju, przyszły przeszkody inne. Mongołowie zalewali często ziemię węgierską, turcy i niemcy niepokoili ją przez kilka wieków. Bitwa pod Mohaczem (w r. 1526) złamała siłę madziarów i rzuciła ich na lat dwieście pod stopy tureckie. Wyzwoleni od turków, dostali się pod panowanie Habsburgów, którzy rządzili w Węgrzech, jak w kraju zdobytym.

Właściwy rozkwit ekonomiczny i umysłowy Węgier zaczyna się dopiero w stuleciu bieżącem,

Pozbywszy się po r. 1867, po dokonanem małżeństwie z Austryą (Austro-Węgry) reszty hamulców, rozwijali się madziarowie z niezwykłym pośpiechem. Chcieli oni w ostatnich latach

trzydziestu dogonić pod względem ekonomicznym Europę zachodnią, którą zawsze, do samego początku swojego przybycia z Azyi, gorliwie naśladowali.

Z chwilą, gdy madziarowie poczuli się znów u siebie, na własnych śmieciach, szukali ciągle sposobności, aby dowieść Europie, że są odrębnym, dobrowolnie tylko z Austryą złączonem ciałem politycznem. Ta sposobność — tysiąclecie — nadarzyła się, i oto znaczenie wystawy. Jest ona więcej demonstracyą polityczną, publicznem świadectwem samodzielności węgierskiej, aniżeli wystawą w zwykłem rozumieniu.

Rozumie się, że taka wystawa zwróciła główną uwagę na dział historyczny. Dział ten rozpada się na trzy części: na grupę romańską, gotycką i renesansową. W grupie pierwszej pomieszczono wszystkie pamiątki, odnoszące się do królów z domu Arpada, w drugiej pomniki aż do bitwy pod Mohaczem (r. 1526), trzecia obejmuje epokę ostatnią, aż do czasów najnowszych, do r. 1867.

Oprócz bardzo bogatego działu historycznego, znajduje się na wystawie w Budapeszcie równie bogaty dział wojenny, z ogromną hallą dla marynarki. Handel, finanse, stolica Węgier mają osobne pawilony z wielkiem mnóstwem poddziałów. Bardzo bogaty jest dział etnograficzny, odtwarzający plastycznie zwyczaje i obyczaje wszystkich ludów podległych koronie węgierskiej.

Na samym wstępie do wystawy, przed jej główną bramą, znajduje się w okrągłym gmachu panorama Feszty'ego, przedstawiająca wejście madziarów do stolicy Wołoczy. Główny plan tej panoramy zajmuje Arpad, zdobywca Węgier, otoczony naczelnikami poszczególnych plemion. Na dalszym planie rozgrywa się bitwa między najeźdźcami i pierwotnymi tej ziemi mieszkańcami. Najeźdźcy nacierają mieczem i łukiem, tubylcy bronią się maczugami. Madziarowie walczą konno, słowianie pieszo.

Nad tą panoramą pracowali przez dwa lata najlepsi malarze węgierscy pod przewodnictwem dwóch braci Feszty'ch, z których pierwszy prowadził roboty artystyczne, drugi zaś wziął na siebie część administracyjną i finansową. Dzieło to sprawia duże wrażenie.

T. J. Choiński.

W 200 setną rocznicę skonu

Jana IIIgo Sobieskiego. (*)

Przez szerokie okna, wychodzące na kwiecisty taras wilanowskiego pałacu, strugi wesołych blasków słońca wdzierają się do wnętrza, zawisają na aksamitnych obiciach ścian i złotogłowiach, drżącymi połyski całują cenne malowidła, złote statuy, bronzowe kandelabry i białe ramiona Chrystusa drogocennie rzeźbione z kości słoniowej, co w głębi widnieje nad wspaniałem łożem rozpięty na karmazynowej, jedwabistej makacie.

Ogólną ciszę komnaty przerywa miarowe uderzenie wahadła weneckiego zegaru, umieszczonego pod olbrzymim kloszem na marmurowym kominku i przeraźliwy wrzask papugi zielonej, co u drzwi wisi na złotej obręczy i kilka francuskich wyrazów powtarza bez końca, do uprzykrzenia. Wśród przepychu, świadczącego o wielkim smaku artystycznym i niełada bogactwie, siedzi Jan III schorowany i opuszczony przez rodzinę, dworaków i służbę. Cierpi on od kilku lat na kamienie nerkowe i wodną puchlinę, nogi nabrzmiałe ciężą mu ołowiem, więc siedzi znękany w szerokiem karle i bolesnym myślom się oddaje. W ręku trzyma różaniec z kości słoniowej, wargi blade poruszają się szybko pod obwisłym wąsem i szepcą słowa modlitwy.

Marzył on kiedyś, że lubą ojczyznę zawiedzie do chwały, a oto, ile razy ją dźwignąć usiłował, wnet anarchia podnosiła głowę i pozbawiała go mocy, wytrącała berło z ręki. Dążąc do wzmocnienia absolutnej władzy, o której rozumiał, że jedynie zdoła ocalić Polskę, ukrócał swawolę możnych wynoszeniem do godności senatorskich ludzi nowych o imionach dotąd mniej znanych, środkiem tym jednak nie zdołał zaradzić złemu; możnowładni bowiem przeciwnicy podnosili tem butniej głowę, darzeni zaś godnościami dorobkowicze, łaski i fawory świadczone odpłacali mu zdradą i niewdzięcznością.

Więc może na łonie rodziny doznał skołatany starzec jakiej pociechy? I ta go zawiodła.

Społeczeństwo polskie przedajne, powodujące się zyskiem i prywatą, widok nowy ojczystej bez steru i rządu, niezapewnione następstwo tronu, ciągłe spory najstarszego syna Jakuba z matką, to o żonę Jadwigę Amalię, księżniczkę Neuburską, której Marja Kazimiera bezlitośnie dokuczała, to o majątek, którego lwią część królowa z krzywdą dzieci pragnęła zagarnąć: wszystko to gnębiło mu duszę do żywego i pogarszało stan jego chorobny.

Wprawdzie lekarze nadworni: żydowin Jonasz, von Falderen i Minasiewicz robili mu dobrą nadzieję, że się te cierpienia ukoją, jedno do wód hirszberskich (dziś Warmbrunn) wyjedzie; rada senatorska z 2 czerwca dała nawet przyzwolenie na odbycie tej podróży. Sobieski jednak jakby w przeczuciu bliskiego skonu, odkłada ją z dnia na dzień i w modlitwie a rozmyślaniu szuka ukojenia ponurych myśli i dręczących go cierpień fizycznych.

Gdy tak siedzi osamotniony król-bohater, kotara u drzwi zwolna się uchyla i do komnaty wchodzi niewiasta młoda o uroczem obliczu, na którem malował się smutek i dobroć bez granic. Ślady łez w oczach niebieskich, szeroko otwartych i lekko schmurzone białe czoło świadczą o świeżo przebytem cierpieniu. Ubrana była skromnie, lecz wykwintnie, w ręku niosła plik papierów. Król ujrzawszy ją uśmiechnął się przychylnie.

— Przypomniała sobie nareszcie jedna istota o mojem istnieniu.

— Pamiętamy wszyscy o waszej król. mości — rzekła, całując go w rękę — jeno u królowej jejmości ważne sprawy się toczą, od których dobro waszej rodziny zależy, niedziw przeto, że o was na chwilę zapomniano.

Cóż tam znowu za sprawy?

— Mąż mój, a waszej król. mości syn, układa się wedle majątkowych interesów...

— . . . I jako zwyczajnie matka dywersję mu czyni i kłócą się o podział schedy, choć mnie jeszcze na marach nie widzą...

— Nie ojcze...

— Nie przecz mi, dziecko moje, wiem dobrze, co się dzieje; więcej ich obchodzą dobra doczesne, włości, złoto i klejnoty, niż moje zdrowie i dobro wieczne, a przedewszystkiem spokój ostatnich dni mego żywota.

W mocy waszej krol. mości wyraźną, spisaną wolą usunąć te spory, z których wiele szkody spłynąć może w przyszłości na rodzinę — rzekł biskup płocki Załuski, który przed chwilą właśnie wszedł do komnaty.

— Czyliż nie widzisz — odparł Sobieski - że mnie za życia nie słuchają, mamże mieć nadzieję, że mnie po śmierci słuchać będą? Już takie czasy, że złoto panuje, srebro rządzi, więc ginie pamięć chrześcijańskiej powinności, sumienie milczy, dla słuszności miejsca niema.

Poczem król machnął ręką i dorzucił z szyderczem uśmiechem: — Niema dobrego człowieka, niema ani jednego... — Tu zawahał się chwilę i spojrzał na księżnę Neuburską, która batystową chusteczką ocierała oczy łez pełne.

Księżna przyklęknęła na niskim taborecie, aby ucałować ręce schorzałego ojca, a listy, które niosła z rąk się wymknęły i upadły na posadzkę, jeden zaś z nich zatrzymał się na kolanach króla.

— Cóż ty tu za kancelarję nosisz z sobą? — spytał żartobliwie, a całując ją w czoło, czytać poczał rozłożony papier.

— To listy Jakuba, które mi polecił dziś jeszcze popieczętować i wyprawić przez umyślnych gońców.

Król tymczasem oczyma wodził po piśmie, które było plenipotencja królewicza daną p. łowczemu koronnemu Stefanowi Potockiemu, polecającą mu, „aby za odebraniem wiadomości śmiertelnego przypadku najjaś. króla ojca i dobrodzieja naszego.“ z władzy i ramienia jego (to jest Jakuba), wszystkie sumy i skarby, któreby się w Żółkwi lub gdzieś na Rusi znajdowały, odebrał i w bezpiecznem miejscu ulokował, *etiam adhibita militari manu*, w czem się mu wszelka gotowość sposządzi.

Skończył czytać dokumet zbolały ojciec i powoli go drżącą ręką składał, a do głowy wir myśli się tłoczył, serce bólem się ścieło.

Jakto? — ten ukochany jego pierworodny „fa fan,“ o którym niegdyś marzył, że będzie chlubą ojczyzny i rodziny, dziś doczekać nie może ostatniej chwili ojca i już wydaje rozporządzenia, jakie się po śmierci wydawać zwykło. Tu stanęło na oczach widmo piekielnej rozterki w rodzinie, któraby go pragnęła ujrzeć jak najprędzej na marach — więc znękany starzec, ręce drżące opuścił na kolana, krew mu do głowy nabiegła i całym ciężarem ciała, pochyliwszy się naprzód, runął jak martwy głaz na posadzkę.

Biskup płocki daremnie usiłował go podtrzymać, król zsuwając się na ziemię o mało go nie przygniótł ogromem swego ciała.

Na krzyk ks. Neuburskiej nadbiegła z górnych komnat królowa w towarzystwie posła francuskiego Polignaca i O. Voty, jezuity, a ujrzawszy męża bez przytomności, głośnym płaczem napełniła pokój.

W zamieszaniu i popłochu ogólnem biskup Załuski wołał na posła francuskiego, aby królowę wyprowadzono, co gdy spełniono, służbie wydał rozkazy, aby jak najprędzej zawezwano spowiednika i lekarzy.

Tymczasem wzięto się do udzielenia pierwszej pomocy choremu. Ale co to była za pomoc, gdzie kilku duchownych i paziów. Nawet króla na łoże przenieść nie zdołali. Musiano go zostawić na ziemi i czekać aż reszta służby nadejdzie.

W dobrą godzinę przybyło kilku dworzan, nieszczęściem ledwo który z nich był trzeźwy. Gdy król przez całą godzinę w paroksyzmie leżał, biskup płocki wołał głośno, aby żałował za grzechy i dał znak, że słyszy wzywającego go do skruchy, co gdy uczynił, zwracając ku biskupowi oczy i ściskając go za rękę, tenże dał mu rozgrzeszenie, udzielając odpustów w artykule śmierci dozwolonych od apostolskiej stolicy.

Lekarze, za którymi służba się rozbiegła, nie nadchodzili wcale, Jonasz bowiem pojechał do Warszawy, dokąd go wezwała pani Dupont, faworyta królowej, cierpiąca na histeryczne spazmy, inni zaś, jak von Falderen i Minaszewicz, mieszkali także w stolicy, musiano więc kilka godzin czekać, aż przybędą. Poczciwy biskup Załuski wszelkich w tym czasie środków używał, aby tylko króla przywieść do przytomności.

Przyszło mu na myśl, aby choremu podać „Baranka Bożego Innocentego XI.“ Uczynił to i łaska Boża pomogła nagle królowi. Jakby ze snu przebudzony przyszedł do siebie i pytał, co się z nim stało, poczem przystąpił do spowiedzi przed O. Skopowskim, swym spowiednikiem.

Nie było chwili do stracenia; posłano po Najśw. Sakrament i wcześnie robiono przygotowania do przyjęcia gościa, mówiąc przy królu i z królem tylko o rzeczach pobożnych. Gdy później przyniesiono Ciało Pańskie, znowu powrócił paroksyzm i trwał niemal przez godzinę. Przyczyli biskupi poznański i inflancki, jeden z nich, dał ostatnie namaszczenie, ale król zaczął już konać..

Nadjechali już w końcu i lekarze, lecz wszelkie środki nie pomogły, król mowy nie odzyskał i po kilkogodzinnych męczarniach, między ósmą a dziewiątą wieczorem dnia tegoż (t. j. d. 17 czerwca 1696 r.) zgasł *lumen Poloniae* bez wszelkiej dyspozycji, a wraz z nim zagasły ostatnie blaski chwały na polskim horyzoncie.

L. Glatman.

(*) Ten szkic historyczny, ku pożytkowi i serdecznej pamięci, szerszego koła czytelników naszego popularnego wydawnictwa przedrukowujemy z krakowskiego *Czasu*, za co szanowną redakcję tego pisma przepraszamy. *(Przyp. Red.)*

Teatr — koncerta — widowiska.

Na sezon ogórkowy mieliśmy bardzo ciekawy, bardzo znamienny i bardzo charakterystyczny gościnny występ... solidarności dziennikarskiej. Młoda ta artystka kształciła się we Lwowie i od razu zajęła niezwykłe stanowisko Szanowna publiczność przyjęła ją, nie tyle z entuzjazmem, jak z rozdziawioną gębą... bo rzeczywiście entuzjazmować się nie ma nad czem, ale dziwić się jest czemu, że dziennikarze lwowscy wszyscy wzięli się za ręce i odesłali wolne bilety dyrekcji tutejszego teatru wskutek nietaktownego znalezienia się współdyrektora p. Hellera z redakcją *Czasu* w Krakowie. Sprawa ta już zakończona — dyrekcja poszła do Canossy, p. Heller przeprosił redakcję Czasu oświadczając, że dyrekcja do biletów wolnych nie przywiązuje nic więcej oprócz krytyki i wszystko wróciło do harmonijnego stosunku, a dyrekcja usunęła nawet z drugiej strony wolnego biletu zastrzeżenie, że go każdej chwili cofnąć może.

Po występach solidarności dziennikarskiej, nastąpiły występy gościnne pani Honoraty Leszczyńskiej, artystki warszawskiego teatru, która gra role z tylu beczek, że to właśnie jest przeszkodą, iż dotąd artystka w żadnym kierunku nie zajęła wybitnego stanowiska, chociaż wszędzie okazuje się bardzo zdolną, inteligentną i pomysłową. Pani Leszczyńska grywa role bohaterskie, salonowe, naiwne, charakterystyczne, wodewilowe i nawet subretek. Z tego cośmy widzieli we Lwowie, nabraliśmy tego przekonania, że pani Leszczyńska posiada bardzo wybitny talent charakterystycznej artystki o silniejszej barwie i więcej jaskrawym kolorycie. Zdaniem naszem, gdyby w tym kierunku talent swój i inteligencję zużytkowała, byłaby jedną z najznakomitszych charakterystycznych artystek.

W chwili, gdy to piszemy, rozpoczął gościnne występy na lwowskiej scenie pan Wolski, także artysta warszawskich teatrów. Widzieliśmy go w kilku sztukach naturalnie ogranych u nas na wszystkie strony i musimy przyznać, że jako kochanek lekki, który nawiasem mówiąc zdobywa łatwiej najcięższe sercowe pozycje aniżeli ciężki dramatyczny kochanek — że, powtarzamy, p. Wolski w tej gałęzi ról stoi na pierwszorzędnem stanowisku i kto wie czy nie na pierwszem wśród artystów polskich. Artysta to skrystalizowany zupełnie, obdarzony talentem przenikliwym, inteligencją głębszą, smakiem i niezmiernie sympatycznym temperamentem.

Z życia zakonnicy.

W Chatillon-sous-Bagneux pod Paryżem zakończyła życie ośmdziesięcioczteroletnia staruszka, siostra Wincentyna Ferrier w zakonie, a pana Teresa Chupin w życiu świeckiem.

Pośród hałaśliwych sporów politycznych ostatnich czasów śmierć ta przeszła niespostrzeżenie, lubo bogobojna zakonnica była uosobieniem miłosierdzia. Ona to stworzyła jedną z najpiękniejszych instytucyi paryzkich — schronienie Św. Anny, przeznaczone dla kobiet upadłych, pragnących zerwać z dotychczasowym trybem życia. Aleksander Dumas, stronnik rehabilitacyi kobiet poświęcił niegdyś temu zakładowi piękny artykuł.

Życie siostry Wincenty Ferrier było jednem pasmem czynów miłosierdzia i litości. Przybyła do Paryża z Bretanii i w 22 roku życia została dozorczynią więzienia Saint Lazare. Łagodność i słodycz charakteru zjednały jej szybko sympatję uwięzionych kobiet. Rewolucya w 1848 r. zastała jeszcze panne Chupin w więzieniu Saint Lazare. Wyłamano bramy i wypuszczono uwięzione kobiety na wolność. Powstańcy chcieli zabić dozorczynię, lecz kobiety uwięzione ujęły się za nią, potem przebrały ją w kostium więzienny i tym sposobem ocaliły jej życie.

Panna Chupin osiedliła się w ubogiej dzielnicy Paryża i tam dalej zajmowała się gorliwie działami miłosierdzia. Pewnego wieczoru dała u siebie schronienie dwom dziewczętom. Miała wówczas przy sobie tylko sześć franków, pożyczonych od odźwiernej. Taki był początek przyszłego zakładu Św. Anny. Zakonnica zastawiła klejnoty, jakie jeszcze posiadała, bo liczba dziewcząt, przybywających do niej o pomoc, wciąż wzrastała. Po upływie sześciu tygodni było ich już siedmnaście. Mały apartament panny Chupin służył w dzień za pracownicę zaś na noc zmieniał się w sypialnię. Właścicielka mieszkania łóżko swe ustępowała chorym, a sama z innemi sypiała na podłodze. Jakim sposobem dzieło na tak kruchych rozpoczęte podstawach mogło istnieć i utrzymać się? Jedynie z pomocą cudów poświęcenia i wysiłków, jakie tylko gorąca miłość bliźniego podyktować jest w stanie.

Panna Chupin zyskała pomoc, która pozwoliła jej na najęcie obszerniejszego lokalu. Zakład powoli rozwijał się. Z bulwaru Saint-Jaques przeniesiono go do Clichy; obecnie znajduje się w Chatillon pod Paryżem. Wychowanice przybywają do niego już nie z więzienia jak to było dawniej, lecz wprost ze świata, w którym żyją, bądź to z teatru, bądź z atelier artystów. Niektóre przyprowadzają sami rodzice. Dziewczęta, przybywające do Chatillon, mogą o każdej porze dnia i nocy żądać gościnności. Nie żądają tu od nich nic oprócz zerwania z przeszłością. Dom, stary pawilon w stylu Ludwika XV, przyjmuje je gościnnie. Wokoło roztacza się park z powietrzem czystem i zielonemi drzewami, dającemi cień i spokój. W dali widok na Paryż zbyt dobrze, niestety, znany wychowanicom. Niebrak tu też dobrych ludzi, którym można zwierzyć się ze swych cierpień i zmartwień. Nikt nie żąda od wychowanic nagłej poprawy, nic im nie narzucają. Drzwi zawsze są otwarte dla tych, które wchodzą, zarówno jak i dla tych, które pragną oddalić się. Niektóre powracają do życia, prowadzonego poprzednio, inne dzwonią do bramy wieczorem tegoż dnia, w którym się oddaliły, a trafiają się i takie, które, po upływie wielu lat, przypominają sobie schronienie i proszą, jak o łaskę, by pozwolono im w niem umrzeć.

Możnaby mniemać, iż jest to pensya dla córek drobnych mieszczan. Obecnie jest tu przeszło sto wychowanic ze wszystkich klas społecznych; są robotnice, aktorki, młode dziewczyny, opuszczone przez kochanków i odepchnięte przez rodziny, młode kobiety, które dla chwilowej fantazyi porzuciły mężów i dzieci.

Rezultaty są zdumiewające. Na 500 wychowanic, które dotychczas bawiły w zakładzie, 200 pogodziło się z rodzinami, 140 znalazło miejsce uczciwej pracy, 50 wyszło za mąż i są dobremi żonami i matkami, niektóre zostały zakonnicami. Wszystko to jest dziełem panny Chupin. Czcigodna zakonnica zmarła w d. 22 kwietnia r. b. w Chatillon, ale dzieło, które pozostawia po sobie, będzie trwać, rozwijać się i zachowa jej wdzięczne wspomnienie.

Praktyczne wiadomości.

Nietoperz na usługach pszczelnictwa. Zwierzęciem mało znanem ze względu swej użyteczności dla pszczelnictwa, jest nietoperz. Wielu uznaje go jako niezmordowanego tępiciela szkodliwych owadów, latających w nocy, mogłoby mniemać, że zwierzątko to czyha też i na pszczoły, zwłaszcza, że je często można spostrzegać u wylotów uli słabych i mało musznych. Tymczasem rzeczywistą zdobyczą, której nietoperz w tych warunkach poszukuje, jest t. zw. mól woskowy, składający swe jajka pomiędzy plastrami. Wylęgnięte liszki żywią się woskiem, przewiercają dziury w plastrach, a następnie przemieniając się w poczwarki, oprzędzają się; po wyjściu doskonałego owadu z oprzędu, ten w postaci delikatnej pajęczynki pozostaje na plastrach i je zanieczyszcza. Skuteczną tamę rozmnażaniu się tego szkodnika stawia nietoperz i stąd powinien być przez pszczelarzy mile widzianym.

Korek dotychczas był najstosowniejszym materjałem na pasy chroniące ludzi od zatonięcia. Obecnie nowy materjał nietylko go zastąpi, ale nawet przewyższy, co do praktyczności. Tym starym, a dopiero nowo zastosowanym materjałem są szypułki pozostałe z darcia pierza. Układane są w ten sposób, że tworzą tkaninę, która będąc znacznie lżejszą od korka utrzymuje człowieka na powierzchni wody. Liczne próby stwierdziły praktyczność tego wynalazku.

Wytępić szczury w budynkach gospodarczych można w sposób następujący: Przyzwyczaić należy szczury przez 10—12 dni do zadawanej paszy, którą punktualnie o oznaczonej godzinie sypać można na deskę. Sypie im się mąkę kukurydzianą lub inną, czystą, a tylko tyle, że zupełnie zjedzą. Skoro się szczury do tej regularnie nasypywanej paszy przyzwyczaiły, domieszywa się do mąki $^1/_3$ arszeniku. Nie poczują one tej zgubnej dla nich domieszki i te, które regularnie były poprzednio odpasane, niszczeją. Sposób ten trucia nie wzbudza w nich podejrzenia i można go często powtarzać, zakładając po różnych miejscach w budynkach, a szczury wyginą.

Różne sprawy.

Do wiadomości polskich socjalistów. Znakomity współczesny historyk polski, p. Tadeusz Korzon z Warszawy, nadesłał redakcji *Nowej Reformy* pismo, którem bardzo stanowczo dokumentuje swoje własne poglądy społeczne i udowadnia, iż nie inne wygłaszał wielki, a tak słusznie przez nas czczony Joachim Lelewel.

Oto pismo p. Tadeusza Korzona:

„Szanowny Panie Redaktorze! Dowiaduję się od przejezdnych, że w dniu 1. lipca r. b. na wieczorze, urządzonym ku czci Joachima Lelewela, po odczytaniu wyjątków z nadesłanego przezemnie „Poglądu na działalność naukową" tego wielkiego historyka pewna nieznana mi gromadka uczestników obchodu śpiewała pieśń socjalistyczno-rewolucyjną „Czerwony sztandar".

Jest to dla mnie przykrą niespodzianką wobec ducha i wyrazów zaproszenia, jakie otrzymałem od kółka historycznego, a zniewagą dla Lelewela, który znosząc głód, zimno, ubóstwo, dotkliwsze, niż najuboższy z robotników dzisiejszych, zajmując się od lat młodych do późnej starości losami ludu pracowitego, głosząc i praktykując zasady demokracji ówczesnej, napisał przecież dnia 19. grudnia 1850 roku „Przeklęty to socjalizm, komunizm" (Listy do rodzeństwa pisane. Poznań, Żupański, 1879, tom II, str. 344).

„Wiadomo, jak stanowczo i bezwzględnie wypraszał ze swej izdebki przybyszów, którz, przestępując próg, ośmielili się obrażać jego cele życia; dziś ja zastąpić winienem zmarłego w oświadczeniu, że ten „Czerwony sztandar" nie był i nie mógł być jego standarem.

„Wdzięczny będę każdemu pismu polskiemu, które niniejszą protestację moją powtórzyć zechce.

„Racz szanowny panie redaktorze przyjąć wyrazy wysokiego poważania.

„Warszawa d. 9. lipca 1896.

Tadeusz Korzon.

Doroczny egzamin w pensjonacie p. Marji Bielskiej. Wśród licznego szeregu popisów, zamykających bieżący rok szkolny, nader sympatycznie zapisał się w naszej pamięci popis, jaki się odbył w zakładzie wychowawczo-naukowym p. Marji Bielskiej. Pensjonat, założony przed pół blisko wiekiem przez Felicję z Wasilewskich Boberską, prowadzony chlubnie przez Kamillę Poh, jest i dziś, pod sterem trzeciej z rzędu kierowniczki ogniskiem umiejętnego i gruntownego krzywienia postępowej wiedzy, ogniskiem opartem na zasadach miłości Boga i Ojczyzny. Duch religijny, duch swojski, szczero-polski, wśród murów instytucyi ważny to czynnik w wychowaniu młodzieży wobec dzisiejszych prądów i modnych doktryn kosmopolitycznych.

Egzamin odbył się w lokalu zakładu przy ulicy Pańskiej l. 5. w otoczeniu i na tle zieleni zakładowego parku, tak samo jak ongi za czasów śp. Felicji Biberskiej i Kamilli Poh z uroczystym nastrojem, pod przewodnictwem radcy szkolnego p. Mandybura, inspektora p. Tokarskiego w obecności dyrektorów szkół średnich, wyższych urzędników i licznie zgromadzonych rodzin uczennic, niemniej innych zaproszonych gości, którzy mieli sposobność stwierdzić rzeczywiście piękne rezultaty całorocznej pracy, poświęcania się kierowniczki zakładu i doborowego grona profesorów i nauczycielek. P. Bielska postawiła sobie za zadanie kształcić młode panienki w pierwszym rzędzie jako przyszłe kapłanki domowego ogniska, a zarazem dostarczać im wiedzy, żeby mogły w razie potrzeby samoistnie zająć stanowisko. Zadanie to spełnia zakład w całości, a kierowane przez p. Bielską kursa wyższe doprowadzają kandydatki do egzaminu dojrzałości, zakreślonego programem żeńskich seminarjów.

Pomnikowe zabytki cmentarza Łyczakowskiego. Przed kilku dniami powiększył kolosalnych rozmiarów grobowiec granitowy z pomnikiem w kształcie obelisku z labradoru szwedzkiego wykonany — ustawiony nad grobem śp. Stanisława Świątoniowskiego, przedwcześnie zmarłego artysty-malarza. Całość grobowca i pomnika przeprowadzona w najtwardszym materjale ze subtelną ścisłością, jakoteż wysoki naturalny połysk zewnętrznych ścian polerowanych granitu i labradoru,

przekonywa nas o znacznym postępie krajowej industrji kamieniarskiej. Cokół pomnikowy u frontonu zdobią biust z podobizną śp. Stanisława Świątoniowskiego, jakoteż akcessorja malarstwa i sztuki fotograficznej, odlane z bronzu. Trafność podobizny — układ i technika w modelowaniu przynoszą zaszczyt wykonawcy tej rzeźby, p. Julianowi Markowskiemu, w którego fabryce kamieniarskiej wykonano również grobowiec i pomnik.

Nadesłane.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego, ul. Słowackiego l. 4.